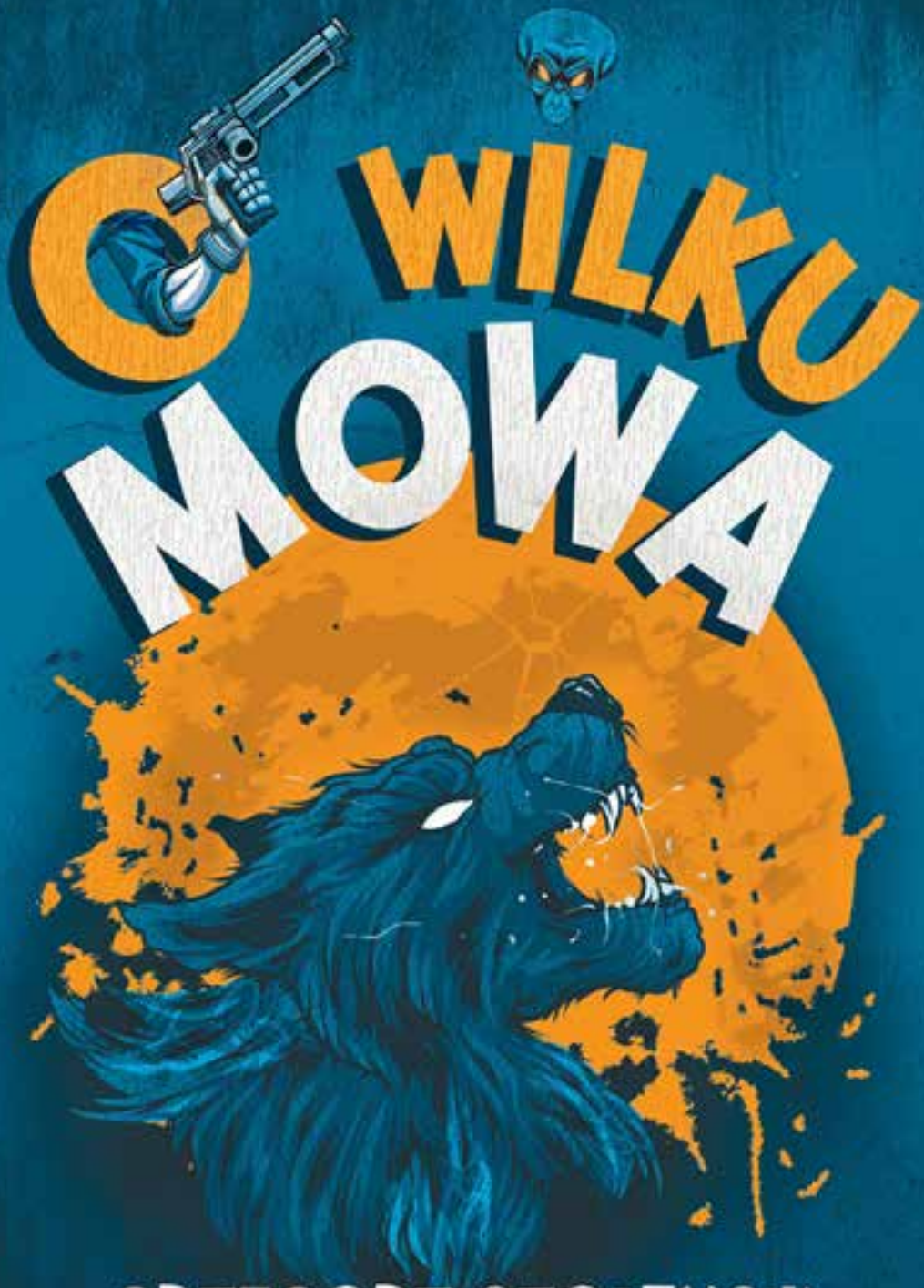




GRZEGORZ SZOŁTYSIK

O wilku mowa

© Grzegorz Szołtysik

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Redaktor prowadzący: D.B. Foryś

Redakcja: Monika Malita-Bekier

Korekta: Wydawnictwo Nie powiem

Projekt okładki: E.Raj

Skład okładki do druku: D.B. Foryś

Skład: Marcin Halski

ISBN: 978-83-68177-73-2

ISBN E-book: 978-83-68177-74-9

Wydanie pierwsze

Wojkowie 2025

Wydawnictwo Nie powiem

Email: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowie

www.niepowiem.com.pl



WILK MOWA

GRZEGORZ SZOŁTYSIK

Wojkowie 2025

NIE
POWIEM



ROZDZIAŁ 1

Ból. Krzyk odradzających się organelli skoszarowanych na powrót w komórki. Opór atomów łączonych ponownie wbrew naturze. Zdecydowany sprzeciw wobec przywrócenia do życia z błogich objęć śmierci. A potem niemoc. Zniewolony bezruchem jeszcze nie do końca zrekonstruowanych mięśni i kości. Pośród szumu w głowie galopujące wspomnienia poprzedniego żywota. Tysiące... ba – miliony obrazów. Dźwięki, urojone zapachy, strzępki uczuć. Bezkształtny koktajl. Chaos, z którego z wolna wydobywały się formy. A wszystko to jedną klamrą spinał ogromny ból ziemskiej egzystencji. Czuł ból, a zatem był. Czuł, a zatem miał świadomość. Tak naprawdę prócz bólu istnienia nie miał świadomości niczego. Nieznana siła rekonstruowała jego zgniłe zwłoki, które formowały się w ludzką postać. Gdy piekące oczy wprawiły się w ruch, nie zobaczyły niczego. Tylko ciemność. Następnie uroniły łzę.

Potem pojawiły się mioklonie. Skurcze raz za razem wstrząsały ciałem, jak u pogrążającego się dopiero we śnie. I nasilały się, jakby chciały wybudzić opornego śpiocha, który tyle lat cieszył się świętym spokojem. I nagle pojawiła się znowu ta

tajemnicza, ogromna siła. Zniknęła dawno temu, a jego przeklęte członki rozpadły się niemal doszczętnie w proch. Teraz wróciła i sklejała go brutalnie kawałek po kawałku. Bez znieczulenia i bez skrupułów. Ostatecznie doprowadzając go do wybudzenia. Łapczywie zaczerpnął tlenu i byłby znowu umarł. Zamiast życiodajnego powietrza jego usta wypełniła gęsta, oleista ciecz. Dostała się do przełyku i tchawicy, co u normalnego człowieka spowodowałoby uduszenie. Tajemnicza siła nie pozwala jednak powracającym do życia w nienaturalny sposób tak łatwo i głupio zginąć. Z jeszcze większym impetem uderzyła we wskrzeszone truchło, przemieniając je w bestię. Ta, poczuwszy w sobie olbrzymią energię, gwałtownie uruchomiła mięśnie. Nogami i rękami jęła szukać wyjścia z ciemnej pułapki. Instynktownie kierowała się ku górze. Przebijała się sprawnie przez warstwy ziemi i oleju, aż wykopała się i wydobyła na powierzchnię.

Ziemię spowijał mrok, przez który próbował się przebić księżyc w pełni. Zawieszone na niebie chmury skutecznie osłabiały jego starania. Strugi deszczu obmywały porośnięte wilczą sierścią członki, zmazując z ciała breję. Wreszcie powietrze! Najpierw musiał jednak pozbyć się z pyska oleju, aby móc się nim delektować. Wykichał go i wykaszlał i... rozpoznał. To ropa naftowa. Nozdrza powoli odzyskiwały sprawność, węch powracał. Deszcz ustał, a ziemia zapachniała. Ścianki nosa przywitała teraz dla odmiany wonna petrykora. Zupełnie odmienna od cuchnącego oleju ziemnego.

Tarzał się w trawie niczym rasowy wilk. Było ciemno, ale pozostał w wilczej postaci, żeby nie zostać zauważonym. W razie kontaktu z człowiekiem mógł udać zbłąkane zwierzę i szybko uciec. W ludzkiej postaci, na dodatek bez odzienia, wzbudziłby od razu sensację. Nie szukał jej. Szukał wody. Animalna energia życiowa i wyostrzone zmysły wiodły go instynktownie ku źródłu. Biegł i zwalniał naprzemiennie, aby upewnić się, że

nikt go nie obserwuje. W pewnej chwili poczuł, że ma ogon. Dobiegł do rzeki. Nie wiedział tego, ale nazywała się Ropa. Znajdował się bowiem w okolicach Gorlic. W odludnym miejscu splukał swoje ciało.

Potem zanurkował i przemienił się w człowieka. Poczuł ulgę. Ból ustał, a na jego twarzy pojawił się nawet uśmiech. W głowie nadal panowała pustka. Kim jest i skąd się tu wziął? Nie miał pojęcia.

Wynurzywszy się z przyjemnej toni, dostrzegł ją. Wiatr rozwiewał jej długie, ciemne włosy. Niośł woń życia, która uderzyła go swą soczystością. Była rozkosznie witalna. Przyciągała. Ta dziewczyna szła za nim. To był ten ogon. Dlaczego? Kim była? Czego od niego chciała? Kim był on sam?

Spojrzał jeszcze raz. Stojąc, czekała na brzegu. Zanurzył się i przeobraził w wilkołaka. Potem gwałtownie wyskoczył. Otrząsnął futro z wody i podszedł do niej. Była młodziutka. Mogła mieć około dwudziestu lat. Ubrana w czarny skórzany kostium.

Ogromnie ucieszyła się na jego widok. Dłońmi dotknęła jego ucha. Pogłaskała go bez cienia strachu jak psa, wpatrując się weń jak dziecko w gwiazdkowy prezent.

– Czekałam na ciebie – powiedziała doń czule.

Ujęła go troską i poczuł do niej silny pociąg. Miała w sobie nie tylko młodzińczy wigor i nadobność właściwą płci pięknej, ale też jakąś część owiej siły, która go wskresiła na powrót do życia. Być może była czarodziejką. Na pewno zaś piękną kobietą. I potrzebował jej bardzo. Być może dlatego, że postacią przypominał zwierzę, atawistyczne odruchy brały górę. Po długim czasie niebytu i świeżo ożywiony miał prawo pozwolić sobie na niedojrzałość. Ta zaś pod garniturem narzuconej kultury skrywała przecież prawdziwą żywotność. Odebraną człowiekowi przez jego mózg. Nadmiernie rozwinięty narząd, który swą nadrzędnością gwałcił te o orientacji zgoła przeciwnej.

Sam wskrzeszony nie potrafił ujarzmić swojej chuci – supernowej eksplodującej witalnością. Na jej oczach przemienił się z powrotem w mężczyznę i mając na sobie jej wzrok, stanął przed nią nagi i nabrzmiął. To ją zdezorientowało. Nie tego chyba oczekiwała. Zrobiła jednak krok w jego kierunku i powiedziała:

– Jestem Sara.

W jego głowie nagle zawrzało. Mózg – nadrzędny organ – zawrócił krew w swą stronę, na czym ucierpiała jego męskość w rozkwicie. Stawką było zrekonstruowanie tożsamości, a to wymagało wysiłku. Tak bardzo chciał odpowiedzieć ślicznotce i się przedstawić. Musiał się więc skupić i przypomnieć sobie, kim jest. W osiągającej temperaturę wrzenia głowie zabulgotało i przez świadomość przemknął kilkanaście razy niczym wagony rozpędanego pociągu passus: *„Jo jes Tyjo! Jo jes wilk! Jo jes Tyjo! Jo jes wilk! Jo jes Tyjo! Jo jes wilk!”*.

– *Jo jes Tyjo! Jo jes wilk!* – powiedział do niej.

– Teodor! Czekałam na ciebie – odparła.

A potem ich usta zwarły się w pocałunku, który był wbrew naturze i którego być nie powinno. Tak jak nie powinno być już jego na tym świecie. Jednak był. I było mu dobrze, a ten świat tak cudownie mu teraz wirował.

A stylized illustration of a werewolf in a dynamic, lunging pose, set against a large, light-colored circular background. The werewolf is depicted with long, dark fur and sharp teeth, appearing to be in motion. The overall style is graphic and somewhat abstract.

ROZDZIAŁ 2

Lucas Ster sprawdzał obecność przyjezdnych w towarzystwie żołnierzy Werwolfu. Spotkanie zorganizowano u niego w domu, w Brzozowicach na Górnym Śląsku. Był lojalnym donosicielem i sumiennie pracował dla III Rzeszy. Nastął czwartek 18 stycznia 1945 roku – tego dnia Niemcy uciekli z Krakowa. Armia Czerwona parła nieubłaganie na Zachód, niebawem miał przyjść kres panowania nazistów nad Europą. Niektórzy jednak nie dali za wygraną. Werwolf ściągnął do Brzozowic najgorsze szumowiny niemieckiej armii, żeby zamknąć ich w kapsule czasu i, za pomocą magii, w którą uwierzyli, wypuścić w lepszej epoce. Zaufali Sterowi, który odkrył żyjącą tu wiedźmę. Niestety nie chciała pomóc dobrowolnie, w związku z tym postanowiono, że Werwolf przywiezie tych zbrodniarzy tutaj, a oni sami wydobędą z niej wszystkie potrzebne informacje.

Wchodzili po kolei i stawali w miejscach wyznaczanych przez Werwolf. Nie kryli niezadowolonych, ale posłusznie ustawiali się, gdzie trzeba. Gdy weszli już wszyscy, Ster wraz z żołnierzami ze swojej organizacji stanęli w opozycji do przybyszy, jak kadra pedagogiczna na apelu przed zgromadzonymi uczniami.

Jedni i drudzy nosili cywilne ubrania. Stojący obok Stera dowódca, Dieter Schulz, wystąpił krok do przodu i rozpoczął:

– Jestem numer jeden. Tak się do mnie zwracacie. Obok mnie stoją: numer dwa, numer trzy, numer cztery i numer pięć. Teraz numer trzy wystąpi i będzie wyczytywać was po nazwiskach. Po wyczytaniu podchodzicie i pokazujecie dokumenty. Przydzielamy wam numer i odtąd jest on waszym imieniem, nazwiskiem i stopniem. Zwracacie się do siebie tylko po numerach. Tu nie ma stopni. Jeden, dwa, trzy, cztery i pięć dowodzą. Reszta słucha rozkazów albo ginie. Od teraz, aż do końca akcji. Kto nie przystaje na te warunki, ma dziesięć sekund, żeby odejść stąd bez konsekwencji. Potem każdy dezter dostanie wyrok śmierci. Liczę do dziesięciu. Raz, dwa, trzy... dziesięć. Zatem wszyscy zostają.

– Czytam nazwiska – oznajmił numer trzy i rozpoczął: – Günther Albert numer sześć. Frank Barbl numer siedem. Stefan Bartesch numer osiem. Alex Baumann numer dziewięć. Walter Berezowskyj numer dziesięć. Adolf Berger numer jedenaście. Ernst Dinges numer dwanaście. Andreas Dreus numer trzynaście. Joseph Habisch numer piętnaście. Jacob Hammer numer szesnaście. Peter Kalkstein numer siedemnaście. Sigmund Kairys numer osiemnaście. Joachim Koch numer dziewiętnaście. Hans Knopfl numer dwadzieścia. Joachim Krotschak numer dwadzieścia jeden. Johann Lambert numer dwadzieścia dwa. Werner Maurer numer dwadzieścia trzy. Hansjörg Ramsauer numer dwadzieścia cztery. Elfriede Rehbogen numer dwadzieścia pięć. Eugen Schmidt numer dwadzieścia sześć. Michael Sängner numer dwadzieścia siedem. Albert Schoger numer dwadzieścia osiem. Horst Thelmann numer dwadzieścia dziewięć. Dmitry Wasyluk numer trzydzieści. Thomas Wieland numer trzydzieści jeden. Joseph Ziegler numer trzydzieści dwa. Johann Wittje numer trzydzieści trzy.

Łącznikiem między ludnością cywilną a nami jest Lucas Ster. Od teraz numer czternaście. Cieszę się, że weryfikacja przeszła sprawnie. Teraz zapraszam wszystkich do stołu. Numer czternaście przygotował dla wszystkich stawę. Po posiłku narada sztabu, potem apel.

Po wystąpieniu dowódca Dieter Schulz gestem wskazał na czternastkę, który wystąpił i zaprowadził ich do izby parady, gdzie wydał posiłek. Była to pożywna grochówka z solidnym wkładem mięsnym. Ster miał własny sklep mięsny na parterze swojego domu i dobrze mu się wiodło.

Na naradzie sztabu pojawiła się *bōnkawa* i *zista*. Ustalono, że najpierw trzeba porwać męża wiedźmy. Torturowany wyzna dostatecznie dużo, żeby zaplanować akcję. Sama wiedźma wezwie na pomoc wilkołaki i do tego trzeba się przygotować, potem zmusić ją do pomocy i zabić. Według Stera wiedźmą była Teresa Praszka, żona młynarza z Kozłowej Góry. Z jej domu można dojść tajemnym przejściem do podziemnej piramidy za rzeką. W tym miejscu magia działała najlepiej. Teresę wprowadzie chroniły wilkołaki, ale zaledwie parę sztuk.

Plan był taki, żeby zarazić wszystkich niemieckich żołnierzy wilkołactwem, a następnie ukryć w piramidzie. W ten sposób przeczekaliby sowiecką inwazję i zaatakowali silniejsi w lepszym czasie. Kandydatów do tej misji starannie wyselekcjonowano. Wybrano najzdrowszych i najokrutniejszych oraz fanatycznie oddanych nazistów. Dobrze ich też uzbrojono.

Decyzją sztabu do porwania wyznaczono siedmioro ludzi wraz z kierowcą. Do jego dyspozycji Ster oddał swój trzytonowy samochód marki opel blitz. Z tyłu, pod plandeką, ukryli się zwiadowcy i strzelcy. Wyruszyli zaraz po apelu i jeszcze wieczorem dostarczyli na zaplecze sklepu mięsnego Stera przerażonego, związanego sznurem młynarza. Schulz wyznaczył do roboty trzy osoby, potem zawołał Stera i wziął go na stronę.

– Posłuchaj! Zdobyliśmy najlepszych ludzi i broń. Postawiliśmy na szali naszą reputację. Uwierzyliśmy w wiedźmy i wilkołaki. Tak bardzo ci zaufaliśmy, czternastko – powiedział jedynka powoli, ważąc słowa.

Ster zdawał sobie sprawę, że dowódca chce w ten sposób wymóc na nim wdzięczność lub podkreślić swoją rolę w akcji.

– Nie macie za bardzo wyjścia, bo ruscy siedzą wam na dupie. Uratować was może tylko cud, a ja wiem, jak go uczynić – odparł cynicznie Ster.

W odpowiedzi numer jeden zmarszczył gniewnie brwi, po czym westchnął głęboko i pokiwał głową.

– To znaczy, że nie mamy nic do stracenia? – zapytał po namyśle Schulz.

– Otóż to – odpowiedział twierdząco Ster.

– A takich ludzi trzeba się bać. Nie sądzisz? – Schulz zmrużył ostrzegawczo oczy.

– Nie mniej niż ruskich – odszczekał Ster.

– Tamci trzej zweryfikują każde kłamstwo. Jeśli okaże się, że łgałeś, pójdziesz tam w następnej kolejności! – zagroził poirytowany.

Numer czternaście wbrew oczekiwaniom dowódcy nie złościł się ani nie wystraszył. Zaśmiał się na głos prosto w twarz Schulza.

– O ile zdążymy przed armią czerwoną. I bardzo proszę mnie nie sztorcować w moim własnym domu! – odparł Ster i poklepał po ramieniu dowódcę, po czym oddalił się do własnej kuchni.

Nalał sobie koniaku, zapalił papierosa i ustawił głośno radio. Nie miał zamiaru słuchać jęków torturowanego młynarza. Rozkoszował się chwilą spokoju. Jego żona na ten trudny czas wraz z dziećmi ukryła się u swoich rodziców. Jego teść był weteranem pierwszej wojny i emerytowanym wojskowym, więc zadbał o ich bezpieczeństwo.

Miał minimum pół godziny tylko dla siebie. Papierosy, koniak i muzyka. Cudownie. Po prawie godzinie Schulz, wyszedłszy z zaplecza sklepowego, zawołał gospodarza. Ster udawał, że nie słyszy. Wiedział, że dowódca w końcu będzie musiał się pofatygować do góry sam. Zgodnie z jego przypuszczeniem Schulz wszedł po schodach na piętro. Stał w progu i znowu, marszcząc gniewnie brwi, zawołał go. Ster jednak nie miał ochoty tolerować koszarowych manier we własnej kuchni. Nie wstawszy, przywołał przybyłego gestem ręki, co jeszcze bardziej zirytowało nawykłego do bezwzględnego posłuszeństwa dowódcę. Schulz marszowym krokiem podszedł do odbiornika i go wyłączył.

– Poczęstuje się pan papierosem i koniakiem? Niech pan sobie naleje. Stoi na stoliku – zaproponował zrelaksowany Lucas Ster. Wcześniej, przed przybyciem gości, nakrył kuchenny stół i postawił na nim karafkę i szklanki. Dieter Schulz westchnął głęboko, ale nie omieszkął zrezygnować z możliwości napicia się koniaku. Nalał sobie, usiadł i zapalił.

– Jak poszło przesłuchanie? – zapytał Ster, opróżniwszy szklankę.

– Znaleźli coś interesującego, co chcieli panu pokazać – odpowiedział tajemniczo dowódca.

– Mam zejść i to zobaczyć? – zapytał Lucas.

Pomimo pozornego spokoju odczuwał trwogę. W głosie Schulza zabrzmiała nuta czystego zła. Stera przeszedł zimny dreszcz od czubka głowy, przez żołądek, aż po sam odbył. Zmroził go od środka niczym lód przebijający osierdzie i wbity w samo serce.

– Napijmy się i chodźmy – zaproponował Schulz.

Nalał pokaźną ilość płynu do obu szklanek i szybko opróżnił swoją. Gospodarz uczynił to samo i poszedł z nim. „Dobrze, że alkohol neutralizuje poczucie strachu” – pomyślał.

Gdy weszli na zaplecze sklepu mięsnego, nie pożałował ani jednej wypitej kropli. W nozdrza uderzył go smród kału, moczu, wymiocin i krwi.

Młynarz, już co prawda niezwiązany, nie był w stanie wstać. Leżał w kałuży ekskrementów, rzygowin i krwi. W powietrzu unosił się dym i duszący fetor spalonej skóry. Nagi, opuchnięty od bicia, bez oczu i z wyrwanymi włosami. Z palców u rąk wyrwano mu wszystkie paznokcie, a z odbytu sterczała grzałka do wody. Od niej odchodził długi kabel sieciowy, którego wtyczka leżała na podłodze nieopodal gniazdka. Urządzenie wciąż było bardzo gorące. Młynarz żył jeszcze i wił się, jęcząc rozpaczliwie. Jego gałki oczne pływały po powierzchni wydobywających się z niego płynów. Na ten widok Ster niemal zemdlał i tylko wypity alkohol powstrzymał go od wymiotów. Schulz dostrzegł, że gospodarz przejął się tym, co zastał na zapleczu swojego sklepu. Złapał go poufale za ramię i powiedział:

– Nie martw się. Chłopaki to posprzątają. To dobre i czyste wojsko. Zaplecze oddadzą takie, jakie było. Nawet lepsze. Co jest? – zapytał, widząc pobladłą twarz Stera.

– Nic – odpowiedział Lucas drżącym głosem.

– Młynarz wszystko potwierdził. Potem ci opowiem. Oprócz tego, co już wiemy od ciebie, przekazał wiele innych cennych informacji. A teraz chodź, zobacz, co znaleźliśmy! – zachęcił przyjaźnie.

Następnie przywołał skinieniem głowy oprawców młynarza. Ci przynieśli dużą brytfannę. Była zamknięta pokrywką, a uchwyty związane drutem. Okazało się, że w środku uwieczniono wielkiego szczura.

– Ale wielkie bydlę, co? – stwierdził z dumą Schulz.

Jego kompani, też wyraźnie ucieszeni, śmiali się, patrząc na ten okaz.

– Widać, że całe życie spędził na ciepłym sklepowym zapleczu. Waży chyba pięć kilo. Nie to co te frontowe szprotki – powiedział, mając na myśli szczury z okopów, i kontynuował: – Znaleźliśmy go za piecem. Nie chciał wyjść. Możliwe, że to szef tych pozostałych. Taki *führer*. Zobaczymy, co potrafi – zwrócił się do oprawców, którzy zmywali sobie krew z dłoni jak po świniobiciu.

Zupełnie nikt nie zwracał uwagi na wydającego z siebie przerażające dźwięki młynarza. Ster spojrzał na ofiarę mimowolnie, na co jeden z oprawców zareagował w dziwny sposób. Przeprosił mianowicie gospodarza za przeoczenie i podbiegł do zmaltretowanego, gwałtownie wyjmując grzałkę do wody z jego odbytu. Młynarz ryknął z bólu, za co dostał kopniaka w żebra. Potem oprawca podszedł z urządzeniem do zmywaka i zaczął je bardzo dokładnie czyścić. Ostatecznie wyjętą z dupy stortuowanego grzałkę wymyło idealnie i wyglancowano na wysoki połysk. Schulz i kompani oznajmili wtedy, że pokażą Sterowi ciekawą sztuczkę pochodzącą z Japonii.

– Wyobraź sobie, że szczur zawsze znajdzie drogę ucieczki. Takie to inteligentne stworzenie – zdradził Schulz.

Następnie podeszli z brytfanną do młynarza, położyli go na plecach i chwycili jego ręce i nogi. Trzymający brytfannę żołnierz ukląkł przy leżącym i nałożył naczynie do góry dnem na brzuch ofiary. Ze szczurem w środku. Drutem przymocował uchwyty brytfanny i opasał nim młynarza. Wszystko po to, by szczur nie mógł wyjść.

– Czternaście! Weźcie teraz z pieca trochę rozżarzonych węgli i połóżcie na brytfannie! – rozkazał Sterowi podniecony Schulz. Jego oczy rozbłysły jak oczy dziecka czekającego na pierwszą gwiazdkę. Wyglądał jak szalony naukowiec tuż przed zaprezentowaniem światu swojego wynalazku.

Ster wyjął z pieca największy węgiel. Jego twarz rozświetliło czerwone światło. Położył go na brytfannie, która nagle

podskoczyła. Szczur był bardzo silny. Węgiel spadł na klatkę piersiową młynarza, który zawył żałośnie. Schulz szpetnie zaklął i wyrwał mu z ręki łopatkę do ładowania węgla. Zeskrobał nią węgiel, który zaczął się już przyklejać do skwierczącego ciała młynarza. Następnie umieścił z powrotem na brytfannie i włożył łopatkę w dłoń ośłupiałego Stera.

– *Scheisse!* Musisz dociskać! Dociskaj! – wrzasnął do Stera, który posłusznie wbił końcówkę łopatki w brytfannę i mocno dociskał. Czuł, jak wielki szczur miota się nerwowo, rozpaczliwie szukając drogi ucieczki.

Nagle młynarzem wstrząsnęły konwulsje. Lucas z trudem trzymał brytfannę na jego brzuchu. Oprawcy również musieli mocniej chwycić oszalałego z bólu Praszkę. Po chwili młynarz poddał się i skonał.

– Patrz teraz! – radośnie zawołał Schulz.

Jego pomocnicy rozszerzyli nogi ofiary, eksponując krocze. Pulsowało w rytm ukąszeń szczura. Jego pyszczek lada chwila ukazał się ich oczom. Potem wylazł. Cały z krwi i gówna.

– Jak nowo narodzony! – obwieścił sukces eksperymentu Schulz.

Pozostali ryknęli śmiechem, a następnie pogratulowali mu pomysłu. Triumfator poklepał po ramieniu Stera i powiedział:

– Wpadnę zaraz do kuchni porozmawiać. Mam plan. Młynarz okazał się bardzo dobrym źródłem informacji. Chętnie ci wszystko opowiem. Jeśli nie masz nic przeciwko, poczęstuję się koniakiem. Co ty na to?

– Zapraszam! – odpowiedział Ster, a następnie wolno wspiął się po schodach do kuchni. W tym czasie specje od przesłuchań ćwiartowali zwłoki i wrzucali po kawałku do latryny.

Ster nalał sobie koniaku do szklanki i cierpliwie czekał na dowódcę. Ten wkrótce zawitał na górze i przedstawił swoją wizję przeprowadzenia akcji.

Plan zakładał ustawienie ciężkiego karabinu maszynowego na wprost drogi do domu młynarza. Wilkołaki, biegnąc z odziecią, zostałyby zasypane gradem kul. Z boku ukryliby się strzelcy, zaopatrzeni w karabiny ręczne i granaty. Ci dobijaliby uciekających. Pozostali osłanialiby tyły. Do środka weszliby spece od przesłuchań. Zamierzali zabrać z sobą swojego pupila – wielkiego szczura. Nazwali go Höhlenforscher. Zwracali się do niego zdrobniale Forschie. Każdy z nich miał przy sobie nóż, żeby odciąć głowę osłabionemu wilkołakowi. Infanteriemesser czterdzieści dwa był solidnym i sprawdzonym nożem szturmowym, ale do cięcia mięsa bardziej nadawały się tasaki z rzeźni Stera. Dlatego zniknęły ze sklepu na czas akcji.

Śnieg i brak liści zimą utrudniały kamuflaż, postanowiono więc uderzyć z zaskoczenia wczesnym rankiem. 19 stycznia 1945 roku słońce wstawało o siódmej trzydzieści pięć. To była ich godzina zero, czekała ich zatem pracowita noc.

Ster oznajmił im, że pozostanie w domu. Przygotował dla nich prowiant na wymarsz, a po powrocie obiecał solidnie nakarmić. Zapasy mięsa szybko się kurczyły od przyjazdu gości. Postanowił nie przesadzać z racjami.

Okłamał ich jednak, bo wymknął się po kryjomu nocą. Wcześniej przygotował sobie konia, którego trzymał u swojego przyjaciela. Pod osłoną nocy pognął do młyna Praszki. Wdowa nie wiedziała jeszcze o śmierci męża.

Niczym Zorro zakradł się w pobliże budynku, a potem zapukał do drzwi. Pani Praszka wyjrzała zza uchylonych drzwi podejrzliwie, aczkolwiek dość rutynowo. Była bowiem przyzwyczajona do nocnych gości. Lucas Ster udał ból brzucha i błagał o litość. W duszy Teresy Praszki poruszyły się struny powołania do służby ludzkości. Wpuściła zatem kontrowersyjnego intruza, którego wyprzedzała sława. Wszyscy wiedzieli, że jest hitlerowskim kolaborantem i kanalią. Choroba nie szczędzi

jednak nikogo i jest ślepa na zasługi. A talent do uzdrawiania zobowiązywał.

– Co się dzieje, panie Ster? – zapytała zaspianym głosem.

– Strasznie boli! Pomocy! – załkał i ciężko dysząc, naparł na drzwi.

Teresa wpuściła go do środka i wskazała tapczan stojący w małym przedpokoju. Lucas runął nań teatralnie i w dalszym ciągu był przeraźliwie.

– Jak tu przyjechaliście? – zapytała zdumiona.

– Sami! Konno – odrzekł Lucas i wskazał na klacz za oknem.

– A czemu to tak? Żona gdzie? – Patrzyła na niego podejrzliwie.

– Wywiozłem ją do teściów. Ruskie idą. Gwałcą i mordują. Kobiety trzeba kryć. Wy też uważajcie – zauważył sprytnie Ster.

– Ruskie idą, żona u teściów, a wy udajecie chorego, żeby was ludzie nie wydali, żeście donosili na nich. Nie dość, że łżecie, to jeszcze po niemiecku. Śląskiego żeście już też zapomnieli. Co chcecie? Żebym was ukryła u siebie? – zapytała Teresa Praszka, przejrzawszy nieczyste zamiary Stera.

Nie zniechęciło go to jednak. Jako oportunistą w każdej sytuacji szukał korzystnej okazji. Dostrzegł ją w tym momencie. Nie dała się nabrać na chorobę, ale uwierzy w jego strach przed zemstą. Po jego donosach ludzie szli do obozów i tracili majątki. Bez wahania wydali by go Armii Czerwonej. W mniemaniu Praszki Ster uciekał z podkulonym ogonem z tonącego okrętu. Niegdyś straszny – teraz bezbronny i zalęknięty. Bez godności, szukając pomocy u dawnych wrogów. Nie dopatrzyła się w tym nędzniku zagrożenia, co okazało się jej błędem. Nie próbowała wzywać pomocy wilkołaków i wpuściła go do środka. Poczowała triumf nad ciemniejszym jej bliskich i to ją zgubiło. Zapomniała nawet, że jej mąż wciąż jeszcze nie wrócił

i intuicja podpowiadała jej, że dzieje się z nim coś niepokojącego. Radość skutecznie przyćmiła czujność.

– *Praszcyno! Pomōżcie!* – poprosił po śląsku.

To rozczuliło jej serce.

– *Pōdźcie! Pokoża wōm, kaj możecie sie schować* – oznajmiła i ruszyła przodem.

Ster wykorzystał tę chwilę. Obróconej doń plecami Teresie przyłożył pięścią w kark. Znał dobrze ten cios i wielokrotnie go ćwiczył. Przed wywózką podejrzanego na gestapo najpierw podchodził, wykorzystując fortel. Potem obezwładniał, krępował i przekazywał. Nieprzytomną Teresę położył na tapczanie. Z kieszeni wyjął fiolkę. Dostał ją rok temu w prezencie od swojego przyjaciela Ernsta Schäfera. Cenił sobie tę znajomość ponad wszystkie inne. Ernst był wybitnym zoologiem i człowiekiem nauki, ale przede wszystkim członkiem Ahnenerbe – nazistowskiej organizacji badawczej, znanej też jako Niemieckie Dziedzictwo Przodków. Z nieznanых Sterowi powodów interesowali się też czarownicami i przeróżnymi magicznymi artefaktami. To, że uznali dziedzictwo kulturowe Polski za tak naprawdę germańskie, przemawiało do Stera. Jako sprawny donosiciel poprosił swoich przełożonych o kontakt z Ahnenerbe i uzyskał go. Swoimi rewelacjami o czarownicach i wilkołakach zainteresował samego Schäfera.

Nawiązała się korespondencyjna przyjaźń. Ster dostawał od swojego przyjaciela zdjęcia z podróży i prezenty. W egzotycznie wyglądającym pudełeczku przechowywał listy wraz z upominkami i fotografiami. I tak była w nim krótka fotorelacja z ekspedycji Schäfera do Kalkuty, w której do zdjęć wraz z Schäferem pozowali inni znani nazistowscy badacze: Karl Wienert, Bruno Beger, Ernst Krause i Edmund Geer.

W pudełeczku znajdowała się też i owa fiołka, zawierająca meskalinę. W liście do Stera Schäfer wyjaśniał, że substancję tę

dostał również w prezencie od innego członka SS i Ahnenerbe – Wolframa Sieversa. Ten wraz z Kurtem Plötnerem przy użyciu meskaliny przeprowadzali eksperymenty medyczne na więźniach Auschwitz i Dachau. Okazało się, że ta substancja jest cudownym serum prawdy. „Niewielka ilość powodowała wprowadzenie badanego w stan, w którym zupełnie bezkrytycznie i prawdomównie relacjonował on wszystkie doświadczone wydarzenia” – zapewniał Schäfer w liście do Stera. Przestrzegał jednocześnie, by nie przesadzać z dawką. Łatwo bowiem można przedobrzyć i doprowadzić badanego do śmierci.

Otworzył usta Teresy i starannie wsypał odpowiednią dawkę białego proszku. Potem przytrzymał wargi, żeby nic się nie zmarnowało, i położył kobietę na boku. Teraz był moment krytyczny. Zaatakował szybko, ale wilkołaki mogły coś poczuć, a to oznaczało, że lada chwila przybędą. Stwierdził, że jeśli nie pojawią się do pół godziny, będzie miał swobodę.

Uciekł w las i mozolnie wspiął się na drzewo. Zimą to bardzo trudne. Miał jednak ze sobą alpinistyczny ekwipunek i broń oraz spory zapas amunicji. Gdyby wilkołaki podeszły, on dostrzegłby je pierwszy, a one nie miałyby wówczas szans go dorwać. Ster był sprytny, dlatego też tak bardzo ubodło go, jak został potraktowany przez tego gamonia z Werwolf. Cała ta pretensjonalna scena z torturowaniem młynarza. Myśleli, że się ich wystraszy? Napawali go jedynie obrzydzeniem, ale nie bał się ich. A już na pewno nie Schulza. Rozpanoszył się w jego własnym domu, a nie dorastał mu nawet do pięt. To on miał wpływowych przyjaciół i z powodzeniem rozwijał swój mięsny biznes. Sklep po sklepie, szczebel po szczeblu, coraz wyżej. Jego donosy były trafne i przydatne. Należał do osób godnych zaufania, dlatego musiał zrobić porządek z Schulzem.

Założył żelazne raki na buty i z pomocą lin wspiął się na wysokość ponad czterech metrów. Czekał. Każda pęknięta gałązka

i podejrzany szmer zdawały się fanfarem. Jednakże cisza okazała się tej nocy panią lasu. Nie stało się absolutnie nic. Odsiecz nie przybyła. Po pół godzinie Teresa była tylko jego. Zszedł z drzewa niczym pająk do swojej zawiniętej w pajęczynę muszki. Czas na ucztę! Zapukał raz jeszcze. Otworzyła, trzymając się za głowę i mrużąc oczy.

– Panie Ster... co się stało? Był pan tu i nagle...

– Pani ma padaczkę! Upadła pani i zaczęła trząść. Toczyła pianę z ust. Ułożyłem panią na boku na tapczanie, gdy było po wszystkim. Potem uciekłem na drzewo i czekałem.

– Padaczkę? Nigdy nie miałam...

– Naprawdę. Sam widziałem i proszę mi wierzyć, że nie był to przyjemny widok – przekonywał Ster i obserwował. Meskalina powoli wchodziła, a cios nie był zbyt mocny. Idealnie.

– Dlaczego pan uciekł? – zapytała czujnie Teresa.

– Bo wilkołaki mogły pani utratę przytomności odebrać telepatycznie i uznać, że jest pani w niebezpieczeństwie. Gdyby mnie tu zobaczyły, toby mnie zabiły. Nie mam dobrej reputacji. Wołałem się schronić. Wróciłem jednak, bo potrzebuję pomocy. A wilkołaki nie przybyły – powiedział otwarcie Ster, czego normalnie by nie zrobił. Czary i wilkołaki były tematami tabu.

Normalnie Teresa też by zaprzeczyła, ale teraz sama otwarcie przyznała:

– Niczego nie zdążyli odebrać. Za szybko straciłam przytomność, a poza tym magia słabnie.

Ster miał już pewność. Meskalina działa. Mógł teraz pytać, o co chciał, i dowiedział się wiele. Większość znał z opowieści, ale nie wierzył w to. W tym momencie jednak uzmysłowił sobie, że to wszystko prawda. Była to trochę przerażająca konstatacja.

Teresa opowiadała o magii, księżycu, wiedźmach, recytując bez zająknięcia całą historię ich rodu. Przez większość czasu

radośnie szczebiotała pod wpływem narkotyku. Gdy jednak zaczęła wyliczać zaklęcia, które już przestały działać, uroniła łzę. W pewnym momencie wspomniała o eliksirach i znów się rozgadała. Lucas zastanowił się, jak osoba doświadczona w zażywaniu substancji psychoaktywnych tak bezproblemowo poddała się niewielkiej ilości meskaliny. Dopiero przy pytaniu o złoto Migdalskiego zauważył, że Teresa troszeczkę udaje. Ona zaś, wyczuwszy u niego podejrzliwość, powiedziała zupełnie otwarcie:

– Panie Ster. Wiem, że mi pan coś zaaplikował. Działa to podobnie do moich eliksirów. Czuję się świetnie i nie mogę powstrzymać od gadania i powiem całą prawdę, bo nie mam oporu. Natomiast o złocie Teodora niestety nic nie wiem. Dał je komuś zaufanemu z Kamienia, żeby je skrył. Nikomu nic nie powiedział, żeby nikt nie wygadał na torturach. Mówił tylko, że przyda się, gdy księżyc zostanie już zreperowany. Czyli za jakieś sto lat. Może wcześniej.

Lucas zacisnął gniewnie zęby. Migdalski był jednak cwany. Nawet jej nie powiedział. To łotr! W tej chwili miał ochotę pozbawić wiedźmę przytomności, ale chciał zapytać o jeszcze jedną rzecz.

– Czy jeśli zasypię wilkołaki lodem i solą tak jak moje mięso i włożę do tej waszej podziemnej piramidy, to po stu latach one wrócą do życia?

– Tak – odparła krótko, ale bardzo przekonująco Teresa.

Wiedział już wszystko. Pora wiać. Pozostało przyłożyć jej jeszcze raz w kark i wrócić do domu. Tymczasem Teresa zaczęła się rozbierać.

– Panie Ster! Nie mam żadnych hamulców. Rozumie pan? – zapytała.

Była ładna, ale miała swoje lata. Na pewno niejeden by się skusił, on jednak musiał trzymać się planu. Uderzył ją jeszcze

raz precyzyjnie i mocno. Potem ułożył na tapczanie i przykrył kocem.

– Niebawem będziesz mieć to, czego chcesz – rzucił złośliwie i pośpiesznie się oddalił.

* * *

Horst Thelmann. To jego świdrujące spojrzenie przywitało ją po przebudzeniu. Był mniej więcej trzydziestoletnim, wysokim mężczyzną. Jego głowę zdobiły bujne i ciemne kędziory, a żuchwa zarastała mu delikatną brodą. Duże, ciemne oczy zdradzały inteligencję wymieszaną z okrucieństwem. Przystojny, lecz przerażający.

Meskalina już nie miała tej mocy co wcześniej. Za to Teresę potwornie bolała głowa. Z przerażeniem odkryła, że jest prawie naga. Suknię zakasano jej wysoko, a Horst bezczelnie bawił się jej piersiami. Chciała zaprotestować lub uciec, jednak nogi i ręce oplatał konopny sznur. Była związana. Krzyknęła, lecz z zakneblowanych ust wydobył się tylko stłumiony pisk. Wysłała więc telepatycznie rozpaczliwą prośbę o pomoc.

– Większość ludzi uważa, że całe zło przychodzi z zewnątrz. Sami uważają się za dobrych. Wieczorami na klęczkach klepią modlitwy do Boga, żeby ich strzegł ode złego. „Od pożaru, choroby i niespodziewanej śmierci chroń nas, Panie!”. Ty pewnie też, hm?

Horst zadał pytanie natury filozoficzno-teologicznej kobiecie z zakneblowanymi ustami, miętosząc w tym czasie jej sutki. Patrzył prosto w jej źrenice swoim lodowatym i upiornym wzrokiem. Wyglądało to co najmniej obrzydliwie, a on niewzruszony deklamował swój traktat filozoficzny. Odnosiła wrażenie, że ułożył go sobie w głowie dawno temu i recytował już niejednokrotnie w podobnych okolicznościach.

– Zło zaś jest w człowieku. Człowiek jest zły. A najgorsze w jego złej naturze jest to, że sobie tego nie uświadamia. Panoszy się po świecie zadowolony z siebie i radosny, bo myśli, że czyni świat lepszym. A gówno prawda! Wciąż go tylko psuje! My jesteśmy inni. – Horst szerokim gestem wskazał na krzątających się po izbie kamratów. Dwóch z nich bawiło się olbrzymim szczurem. – My mamy świadomość, że jesteśmy źli. Czynimy zło rozmyślnie i świadomie. Zabijamy ludzi. Wszystko nam jedno jakich, bo wszyscy są źli. Najbardziej lubię mordować tych, którzy uważają się za niewinnych, a nawet dobrych. Ach! Takich to wprost uwielbiam! Jacy oni zawsze zaskoczeni, że ich spotkał tak okrutny los. A przecież niczego złego nigdy nie zrobili. Nikogo nie skrzywdzili ani nie zabili. Nawet tych zwierząt, które jedzą i szlachtują. Oj, po prostu anioły. Źli przynajmniej wiedzą, że kiedyś trzeba oberwać. A niewiniątka cnotliwe myślą, że pójdą do raju w pantoflach. Nienawidzę takich. Gardzę nimi i zabijam, nie szczędząc sił. A ty mi wyglądasz na niewiniątko, jak twój mąż nieboszczyk, którego poćwiartowaliśmy na kawałki. Zanim skołał, dostarczył nam sporo rozrywki i informacji. Mam nadzieję, że rozumiesz? Im szybciej wszystko powiesz, tym szybciej odpoczniesz na wieki. Bez bólu. A zaprawdę powiadam ci: nie znają bólu, którzy nie spotkali naszej brygady. My jesteśmy nadludźmi. Świadomymi swego zła wybrańcami. Czyścimy nadmiar ludzkości. Jak osteoklasty. To takie komórki, które niszczą nadmiar tkanki kostnej. Zabijają swoich, żeby zachować harmonię w organizmie. Jesteśmy jak wilki, które regulują ekosystem. Tak przynajmniej stwierdził Arthur Tansley, profesor botaniki z Oxfordu. Co? Myślałaś, że każdy esesman to nieokrzesany prymityw, który przeczytał tylko *Mein Kampf*? – zapytał retorycznie Horst i potrząsnął przesadnie głową, manifestując oburzenie rzekomą niską oceną ludzi jego pokroju przez cywilów.

Potem uśmiechnął się poufale i poklepał po nagim pośladku, po czym rzekł:

– À propos wilków. Wiemy, że ich wezwałaś. Czekamy na nich. Rzucą się na nas wściekle i trafią wprost w naszą zasadzkę. Damy się ukąsić, a potem ich pozabijamy. Następnie jako wilkołaki będziemy kontynuować naszą misję oczyszczania świata z ludzkich szumowin. Musimy tylko wydobyć z ciebie parę istotnych szczegółów. Ale to za chwilę. Wcześniej zastąpimy ci twojego nieodżałowanego męża. Pomożemy sobie nawzajem. My na wojnie z dala od domu, a ty tu samotna wdowa spragniona męskiego ciała... Andreas! Chodź tu!

Teresa naprzemiennie traciła i odzyskiwała przytomność. Raz cucił ją ból, raz odgłosy strzałów. Raz coś mówiła, a raz nie była w stanie wydobyć z siebie nawet najcichszego dźwięku. Wszystko było jej już jedno. Pragnęła tylko śmierci. Ta w końcu przyszła. Zamęczyli ją i zmasakrowali jak jej męża. Poddała się jednak szybciej i nie zdołali dowiedzieć się wszystkiego, czego chcieli.

Horst zapisał w swoich notatkach:

Księżyc to mechanizm pochodzenia pozaziemskiego.

Budowniczości księżycy zostawili na ziemi swoich strażników. Ci początkowo obserwowali swoje dzieło z mroźnego i odludnego pustkowia przed zejściem do podziemi. Ostatnie spojrzenie na wspaniały twór ich przodków, a potem hibernacja. Długi sen, z którego wybudzeni zostaną dopiero w razie potrzeby przez strażniczki. Te wybrano spośród ludzi. To było bardzo dawno temu. A potem księżyc zaczął się psuć. Strażnicy zaś zostali wybudzeni i wrócili, żeby go naprawić. Strażników należy znaleźć koniecznie!

Przyjechali z dużym opóźnieniem. Za to wszyscy, cali i zdrowi. Oprócz Joachima Kocha, czyli numeru dziewiętnaście. Ten,

owinięty kocem, wił się jak piskorz. Nieśli go we czwórkę, trzymając za rogi materiału.

– Co z nim? – zapytał Ster.

– Ugryziony! Co mamy robić? – zapytał Schulz.

– Wasi spece od przesłuchań się nie dowiedzieli? – zadrwił Ster. Udawał pijanego i zachowywał się nonszalancko.

– *Scheisse!* Rusz dupę i pomóż nam! – wściekał się znowu Schulz.

Ster i tak miał wstać, zatem nie mówiąc już ani słowa, zaprowadził ich na zewnątrz do chlewika.

– Nie zmarznie tam? – zapytał z troską niosący go kolega.

Ster tylko westchnął. Otworzył drzwi i pomógł im położyć go na sianie. Potem kazał im wyjść. Zamknął za nimi i dodatkowo zabezpieczył wejście metalowym rygłem. Stojącym na mrozie i chuchającym parą, odpowiedział w końcu:

– Nie zmarznie. O ile zamieni się w wilkołaka.

– A jeżeli nie zamieni? – zapytał żenująco bojaźliwie zatroskany kolega.

– To umrze! – Ster odpowiedział mu zimnym jak ów poranek tonem, po czym dodał: – Gdy zacznie rozwalać drzwi, podejźmy i otworzymy. Jeśli będzie spokojny, to nie strzelamy. Natomiast gdyby chciał nas pozabijać, celujemy w brzuch. Wtedy osłabnie. Następny z was podejźcie i da mu się ugryźć. Kolejnego ugryzionego dajemy do chlewika obok. I tak dalej. Z chlewików zwalniamy tylko spokojnych wilkołaków albo trupy. Jasne?

– Tak jest! – Nawyk frontowy nakazywał w tym momencie tak właśnie odpowiedzieć. Nawet Schulz tak uczynił, choć był tu dowódcą.

– Tak będziemy robić aż do skutku. To znaczy, aż wszyscy zostaną przemienieni lub umrą – dodał jeszcze na odchodne i wrócił do kuchni.

Wydał posiłki żołnierzom i zasiadł na powrót do swojej butelki. Czekał, aż Schulz przyjdzie do niego po śniadaniu. Tak też się stało. Dowódca tym razem wydawał się mniej butny niż poprzednio.

– Coś pan taki markotny, *herr* numer jeden? Stało się coś? – zadrwił Ster.

– Pierwszy raz widziałem na oczy wilkołaki. Ta ich siła i szybkość...

– I co? Nasraliście w galoty? Co innego znęcać się nad młynarzem i jego babą, a co innego walczyć z wilkołakiem – zaatakował Ster.

– A co wy tacy wredni dla mnie jesteście? – zapytał oburzony dowódca.

– A bo mi tu chodzicie po domu, nanosicie błota i żrecie moje mięso, a w zamian nic tylko strofowanie. Bawicie się w kaprała na mój koszt. A jak tylko ktoś silniejszy się pojawi na horyzoncie, już kładziecie po sobie uszy. Proszę bardzo! Oto pański koniak *herr* numer jeden! – powiedział Ster, stawiając wypełnioną po brzegi szklankę. – Zasłużony trunek dla przywódcy po udanej akcji – dodał kpiąco.

Schulz był wściekły, ale przede wszystkim chciał się napić. Wybrał zatem koniak, którym przełknął zniewagę. Niemal jednym haustem wychylił ponad setkę destylatu i usiadł na krześle. Ster bacznie go obserwował. Biedny Schulz nie był świadomy, że wraz z upragnionym koniakiem spożył właśnie śmiertelną dawkę meskaliny. Teraz wystarczyło tylko poczekać. Wcześniej jednak upozorować ukąszenie wilkołaka.

– Co to za koniak? – Wzdrygnął się po chwili Schulz, któremu coś nie pasowało w smaku.

– Eckes. Dobra niemiecka firma. Robią dobry Edelkirsch. Może pan woli? – odparł Ster, z troską godną dobrego gospodarza.

– Chyba tak. Najwidoczniej dziś nie jest dobry dzień na koniak. Może jednak ten likier byłby lepszy. A ma pan? – zapytał Schulz, który stawał się coraz słabszy.

– Owszem, mam. Zaraz wrócę – odpowiedział uprzejmie Ster i wyszedł z kuchni z uśmiechem.

Kątem oka obserwował Schulza, który miał minę, jakby rzeczywiście narobił w gacie. Ster wyjął z szafy metalowe raki do wspinaczki górskiej. Potrzebny był mu tylko jeden. Zawiesił go na lewej dłoni, a prawą ujął likier i tak wkroczył pogodny do kuchni. Jeszcze bardziej ucieszył się, widząc wybałuszone nienaturalnie gałki oczne numeru jeden.

– Proszę bardzo! Likier dla szanownego pana!

Ten jednak nie odpowiedział. Patrzył tępo w jeden punkt i powoli zapadał się w sobie. Był spokojny i przytomny, ale myślami już zupełnie nieobecny. Ster postawił butelkę i raki na stole. Przysunął krzesło do numeru jeden i usiadł blisko. Obracając w dłoniach metalowy sprzęt alpinistyczny, powiedział do swojego gościa:

– *Steigeisen*. Tak to nazywają. Wkładasz na buty i możesz śmiało wspinać się po górach i łązić po lodzie. Efekt ten zawdzięczamy tym oto metalowym zębom. Zobacz! Wyglądają jak zęby wilka, nieprawdaż? Zanim śmiertelna dawka narkotyku w końcu cię zabije, ja poskaczę w tym po twojej dupie. Potem zaniosę twoim kamratom i pokażę, że zostałeś pogryziony przez wilkołaki. Wsadzimy cię do chlewika w nadziei na przemianę. Niestety, nie uda się. Z oczywistych względów. Szkoda. Nie musiało tak być, ale zbyt trudno mi się z tobą współpracowało. Żegnaj!

Potem uderzył go pięścią w kark i uczynił to, co zapowiedział.

Nad ranem wyciągnęli ciało Dietera Schulza z chlewika, poćwiartowali i spalili.